

Antoni Marian Kurpiel

Nieznane utwory J. U. Niemcewicza : (ciąg dalszy)

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 12/1/4, 219-228

1913

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Położu ławku czeresz muráwku do ney,
 Ławku szeroka, ręka chubłoká (!) do ney.
 Dá boday ty gory doliny propáły,
 Szco mini Kášiny oczeńki porwáły.
 Dá chotiay uwizu, chotiay petháiu (!),
 Koli ia mileńkoho po chołost znáiu.
 Czy ia dy tobi nechaworyłá Mátweiu,
 Nakłádły mene ná choćy zemli żonkoiu.

Ostatnia wreszcie na k. B 1:

O iák mi tiáženko o iák mi nudnenko, miły domá nie nocuie,
 A mnie strásno spáty sámy iedny w cháty, co mene nelubuie.
 Licháią dolá moiá, czy nie swoiá wolá sco neide do domu spáty.
 Dá czy ia wdowicá, czy ia Mołodycá sáma odno nocowáty.
 Hleżu opuńnocy, prohledáłá oczy, mileńkoho czekaiuczy,
 Aliż moy milenki wziąwszy zá ruczenki czużu żonu prowadzáie.
 Szcoby tobie mileńki zárosły ścieżenki szco ponocy do czudzy hody (!),
 Idy ty dodomu, nie czyni soromá, niehay zde gbiesu spáty.
 Idy nekruty śiá, zemnoiu łoży śiá, czy nie lubá Mołodyczá,
 Czy nie rusá kosá, czy iá nechoroszá, czy nie czarne brwoie.
 Wysłá mołoduńká do swocho lubońká, ruczku pocałowáłá,
 Chody moy hołubie, тебе mnie na dobre, rádám тебе dostáłá.

Druk jak wszystkie podobne spółczesne, bardzo lichy, ale myłki łatwo poprawić. Pieśni same odznaczają się, jak wszelkie ruskie, realizmem; niema w nich tej afektacyi, sentymentów, mitologii, frazesów górnych a nieszczerych, w jakie obfituje liryka polska tych samych zbiorów; są one bardziej ludowe i dlatego już zasłużyły na przedruk.

Berlin.

A. Brückner.

Nieznane utwory J. U. Niemcewicza.

Podał M. A. KURPIEL. *)

(Ciąg dalszy).

Oda do świata.

O biedny świecie, świecie utrapiony,
 Powiedz, co się z Tobą dzieje?
 Czyliś w łeb jest postrzelony?
 Wszystko na tobie szaleje.

Straszne zjawiska w górnych niebach świecą.
 Gwiazdy, czy nieznane światy
 Jakby jakie waryaty
 Jedne za drugimi lecą.

*) Por. Pam. Lit. XII (1913), 78—90.

W powietrzach jakież zamęty!
 Para rozsadza okręty;
 Szturmy, wichry, nawałnice
 I tęgie mrozy w Afryce.

Nie lepiej idzie na ziemi.
 Wszędy szaleństwo i zbrodnie:
 Walczą bracia z bracią swemi,
 Goreją niezgód pochodnie.

Jak wszystko zmieniły lata.
 Czem dziś Rzym, pan niegdyś świata,
 Kędyż są jego Katony,
 Marcellusy i Scypiony,

Co spętane króle wiedli?
 Niemcy go całkiem posiadli.
 Wnuk Horacego, choć się nieco krztusi,
 Po niemiecku gadać musi.

Na Wschodzie dzikie odmiany.
 Nie jest tam przez nie szczęśliwszy poddany,
 Ani go tam sułtan broni
 Od drapieżnych baszów dłoni.
 Na tem u niego reforma zależy,
 Cywilizacya młodzieży,
 By zniósłszy szuby, zawoje,
 Dać Muzułmanom arlekińskie stroje,
 Na głowach małe czapeczki,
 Kutasiki i porteczki.

Sułtanie, wczoraj rządziłeś półświatem,
 Mniemałeś nawet, żeś był słońca bratem;
 Lecz jak się waży losów mocarstw szala,
 Dziś jesteś strapczym Moskala!

Cóż są niemieckich filozofów schyzmy,
 Ich spekulacye i politeizmy?
 Od czasu, jak się ich rozum skantował,
 Cóż nam kiedy wypróbował?
 Na brzuch jedynie pamiętny,
 Lud Germanów obojętny
 Nie dba, byle mieć keyserfleisch i piwo,
 Czy świat ten prosto, czyli idzie krzywo.

Gorsza postać na Zachodzie
 W lekkim, dowcipnym narodzie.

Żywy, niestały, ze wszystkiego szydzi,
Czego dziś żądał, jutro nienawidzi.
Gdy się sprzykrzyły wolności topory,
Przyszły wojny i zabory,
Po malignie osłabienie,
Dawnej sławy zapomnienie.
Samolubstwo pięknym czynem,
A Bursa bogiem jedynym.

Cóż jest ów starzec lubieżny,
Wzrok jego bystry, chociaż włos już śnieżny,
Co się dwakroć na rok żeni
I chociaż kłamie, to się nie rumieni?
Jest to Metternich, wielka matadora,
Znacznego państwa podpora.
Oto to stworzenieczko małe,
Błade, wyschłe i schorzałe,
Co się z tyłu za nim kryje,
Samo nie wie, czyli żyje,
Gdyż, co mu Metternich każe,
On podpisuje lub maże.

Ten, co schyliwszy kolana,
Brał z łaski królów polskich niegdyś pruskie księstwo,
Dziś, hołdownik, niepomny na krzywoprzysięstwo,
Prawego znieważa pana.
Lecz przyjdzie, przyjdzie odwet wymierzony,
Święta przepowiada wróżka,
Gdzie znów ukłęknie królik napuszony
U królów polskich podnóżka.

W Hiszpanii mała królowa
Za makaronik poświęcić gotowa
Berło, królewskie parady.
Lalka prezesem jej rady.
Patrz, co się w tym kraju dzieje:
Krew się przez lat siedm leje.
Rzekłbyś w ślepa babkę grają:
To się gonia, to chowają,
Mają stronników, jak biedna niedola,
Jak despotyzm i swawola.

Gdzież twa potęga, pyszny Albionie?
Już nie jesteś morza panem,
Ogołoczone z laurów twoje skronie,
Drzysz przed Kałmuków i Kirgizów hanem.
Ten, ślepa puchą nadęty,

Srogieć obelgi zadaje,
Zabiera twoje okręty
I bezkarnie ciąglec łaje.

Gdy się myśl nasza przenosi,
Gdzie Waszingtona mieszka plemię harde:
I na drugiej świata osi
Znajdziesz praw świętych pogardę.
Pyszne to plemię z swych swobód bez granic,
Nie idąc z postępu wiekiem,
Mniema, ludzkość licząc za nic,
Że człek czarny nie jest człkiem.

Patrz na bogate Kolumba kraje,
Na Peru, Meksyk, Potozy:
W bezrządzie wszystkie ich czyny,
Pełne występków i zgrozy.

Człek z swej natury nie cierpi niewoli:
Porwie się, strąci tyranów,
Odzyska wolność; znów zbytek swawoli
Nowych powraca mu panów.
Tak zawsze będzie, aż zdrowy rozsądek
W sercach ludzkich pasye zmoże.
Ach, kiedyż lepszy w świecie nastąpi porządek,
Ty wiesz jeden, wielki Boże!

Gdzież dziś siedlisko potęgi i mocy?
Patrz na mocarstwo północy:
Tam zastępuje oświatę i męstwo
Barbarzyńskiego ludu ślepe posłuszeństwo.
Na jeden rozkaz tysiąc stoi lub się rusza.
Milion ciał ludzkich, lecz w nich jedna dusza,
Jeżeli duszę mieć mogą tygrysy,
Krwawe hyeny lub fałszywe lisy,
Bo car, jak każą czasy lub zdarzenia,
W tych dzikich zwierząt postać się zamienia.

Dziś z koroną na głowie, jutro w formie nowej
Jak kuryer leci do Metternichowej.
Znowu pobrawszy carskie swe szczenięta,
Gdy na parowej łodzi flaga już rozpięta,
Staje w Stokholmie i niepomny znoju
W Bernadotego staje przedpokoju.
Rano na mustrze Stokholmskiej załogi,
W wieczór na balu i co prędeż w nogi.
Jak August Cezar przybrał powierników,

Dzikich swych czynów wiernych pomocników:
Za Mecenasa wziął Nowosilcowa,
A za Agrypę Czerniszewowa.
Za ich to radą, własnem uniesieniem
Pastwi się codzień nad polskiem plemieniem.
Szał nim kieruje: skrzętny lub rozrzutny
Podły dla silnych, dla słabych okrutny.

W tych wszystkich okrucieństwach, chuciach wyuzdanych
Któż nie widzi dowodów zmysłów pomieszanych,
Któż w nich nie uzna mściwej ręki Boga?
Już go jakaś tajemna obejmuje trwoga,
Już nocuje w obozach, już szpiegi przebrane
W cwał lecą, śledząc miejsca dla niego wskazane,
Już jak puszczyk żaloszny, zła wróżba dla świata
Lub jak nadęta sowa całe nocy lata.
Drżyj, okrutny tyranie, chwila niedaleka,
Gdzie cię godzien twych zbrodni dzień ostatni czeka,
Gdzie, rozciągnion na łożu, wśród okropnej męki
Znikającego życia będziesz szerzył jęki.
Wtenczas, gdy cię otoczy śmierci pomrok szary,
Staną przed tobą krwawe twej zemsty ofiary,
Staną nieszczęsne matki, co w śnieżnej zamieci
Dzierżąc w swych ręku ciała pomrożonych dzieci,
Oddaj nam, rzekną, nasze jedyne pociechy,
Porwane nam od łona z pod ubogiej strzechy.

Nie tu koniec twym mękom: tysiące wygnańców,
Mściwie zasłane przez cię do bieguna krańców,
Po pustyniach, po całym okręgu tej ziemi,
Rzekną, trzęsąc w twych oczach kajdany ciężkimi:
Sroga jest dola nasza, okropne cierpienia,
Srogsze nad nie już zgasłej ojczyzny wspomnienia,
Lecz te Bóg w przyszłym życiu obficie nagrodzi,
I krótką boleść wiecznem zbawieniem osłodzi;
Ciebie za twoje zbrodnie, obłudy bezczelne
Na wieki palić będą pożary piekielne.

Kiedy już dreszcz śmiertelny żyły twe przebieży,
Oczy słupem ci staną i włos się najeży,
Gdy pot zimny wystąpi na czele i twarzy,
Przyjdą kapłani pańskich przybytków ołtarzy:
Bezbożny, zawołają, krwi nienasycony,
Ty, coś w świątynie pańskie szymy zabobony
Nie wahał się wprowadzić, porzuć już tę ziemię,
Niech już dłużej nie tłoczy okrucieństw twych brzemię,
Niechaj ród ludzki zacznie oddychać swobodnie,
Idź tam, gdzie cię wołają niezliczone zbrodnie.

Rzekli, a czarty, co tam gotowe już były,
Rozdarły go na szmaty i w piekło wrzuciły.

Gdym już cara umieścił w ogniste otchłanie,
Przyjm, o Muzo, ostatnie moje pożegnanie.
Młody — nuciłem dzieje lubej mej ojczyzny.
Gdym się przeżył i później doczekał siwizny,
Gdy ziomkowie i ja sam w zbyt ciężkiej żalobie
Na ujarzmionej Polski łzy lejemy grobie,
Czas jest porzucić rymy, stłuc lutnię żalobną,
Potargane jej struny nie zabrzmią już głośno.
Cóż mi więc pozostaje, gdy już życie mdleje:
Czekać ostatniej chwili, mieć w Bogu nadzieję.

Dotąd, o Boże, za niegodne czyny,
Przestępstwa i przodków winy
Gniew się twój coraz bardziej rozżarza.
Oddałeś w ręce dzikiego mocarza
Losy ludów niezliczonych.
Czemże są w ręku szalonych,
Jak smutna jest ich niedola:
Wszędy nędza i niewola.
Ah! patrzaj co on wyrabia:
Wiesza, wypędza, zagrabia,
Mniemane szturmy przypuszcza do szańców,
Wybija szyby, przebudza mieszkańców.

Orłow, faworyt cara Mikołaja, spotkawszy w Szwajcarach młodego Potockiego z Tulczyna, że z nim razem służył, przyszedł do niego kilkakrotnie pytając: kiedyż do nas powrócisz? — Stąd następujące epigrama:

Kiedyż, zapytał Orłow dzielnego młodziana,
Powrócisz do nas; wina będzie zapomniana.
Kiedyż powrócisz do nas; gdy jedno powtarza,
Gniew się w szlachetnej duszy młodzieńca rozżarza.
Wtenczas odpowie, gdy to gwałtem wiedzieć musisz,
Powrócę, gdy ty cara twojego udusisz.

Dumanie.

I.

Ta w nas niezbędna żądza za czemś, co nieznanem,
Czego dojść ni osiągnąć nie jest człeku danem
W ulotnym biegu tej ziemskiej podróży,
Nie jestże to prorocstwem, czyliż nam nie wróży,
Że takiej tajemnicy stęsknione odkrycie
Nie zajdzie aż po naszym na tej ziemi bycie.

Sam nawet ten nasz żywot z mąk tylu wytrwaniem
 Przyszłej tylko wieczności jest oczekiwaniem.
 Tak ów ptaszek, co chociaż w klatce się urodził
 I nigdy nie wyleciał na powietrze jasne,
 Szuka sposobów, jakby siebie oswobodził.
 I tłucze się ustawnie o swe prątki ciasne,
 Widząc przez gęstych kratkę swych otwarcie
 Nierozmierzone niebios rozpostarcie ;
 Czuje, że instynkt jego przyrodzenia
 Każe mu zwiedzać te górne przestrzenia.
 Tak też i człowiek w swej klatce glinianej
 Żąda się dostać do mety nieznanej.
 Również i w człeku Boski instynkt się odzywa:
 Nieraz w znikomym życia tego wątku
 Jakieś przecucie, jakaś chęć trwożliwa
 Szlachetniejszego chce szukać początku.
 Dusza, ciężkich swych więzów dźwigająca brzemię
 Wyroków Przedwiecznego nie umie zgadywać,
 Nie wie, dlaczego Bóg nas zesłał na tę ziemię,
 Czemu na niej wśród cierpień każe nam przebywać.
 Coś w nim jednak przemawia, że jego tu bycie
 Jest tylko tymczasowem i że wieczne życie,
 Co go w tęsknotach nie przestaje żądać,
 Aż póki, wolen od zmazy i winy,
 Będzie, wzniesiony w niebieskie dziedziny,
 Twórcę swojego oglądać.

II.

Tak różnie wcale podług pory wieku
 Ludzie i rzeczy malują się człeku.
 Młodego, gdy mu ledwie mech okrywa lica,
 Wszystko żywo zajmuje i wszystko zachwyca ;
 Nigdzie żalośnych wspomnień, lecz wszędy nadzieje,
 Cała natura wdzięcznym powabem się śmieje,
 Dla niego słońce zmierzchu nie zaćmi się mrokiem,
 Nieznana jeszcze przyszłość ciąglým jest urokiem ;
 Miłość, rozkosze, później często zawiedzione,
 Te mu tylko stawiają przed oczy zdziwione ;
 Wstaje różowe, a gdy wzbije się do góry,
 Skwarnemi wśród południa gore płomieniami,
 Aż się znowu napowrót niżając stopniami,
 Coraz mdleje, nakoniec w purpurze i złocie
 Zachodzi, znika i świat zostawia w ciemnocie.
 Tak żywot ludzki, jak ten bieg słońca codzienny,
 W każdej lat swoich porze coraz jest odmienny.
 Jak zorza, gdy jej skronie z róż otacza wianek,

Czysty, jasny, wesoły dni naszych poranek;
 Lecz gdy się wzbije w górę, gdy południa blizkiem,
 Jakże człek żądz burzliwych stawa się igrzyskiem.
 Pycha, chciwość i zawiść, walcząc z sobą sprzecznie,
 Jak łódką wśród nawalnic miotają nim wiecznie.
 Później — jaki kres tyłu i trosków i znojów,
 Tyłu trudów i pracy, tyłu niepokojów?
 Patrzaj, ku zachodowi gdy się człek już schyla,
 Gdy mu odbiera każda znikająca chwila
 Część sił jego cielesnych i zmysłów zwątlonych,
 Gdy go dolegliwości mnóstwo niezliczonych
 Ogarną zewsząd, słabem gdy nie dojrzy okiem
 I drżącym już po ziemi zatacza się krokiem,
 Gdy już wszystkich boleści obarczony brzemieniem,
 Gdy życie same jednym jest tylko cierpieniem,
 Swobodzicielka znojów, ów posłaniec Boski,
 Śmierć przychodzi i wszystkie kończy nasze troski!
 Straszna temu, co w życiu z Bogiem się nie łączy,
 Co mniema, że z tym bytem już wszystko się kończy,
 Ale nie straszna nigdy dla duszy cnotliwej,
 Ufnej w Bogu i pewnej wieczności szczęśliwej.
 Przecież niezbędną trwogę człek w tej chwili czuje,
 Kiedy się z zgonem życia ostatek pasuje,
 Kiedy raz już ostatni wpółzemdlonem okiem
 Widzi słońce, co wkrótce wiecznym zajdzie mrokiem,
 Gdy słyszy, choć już błędnie, wśród narzekań rzewnych
 Płacz lubej żony, dzieci, przyjaciół i krewnych.
 I wtenczas jednak, choć już duch w nim ledwie tleje,
 Czuje słodką pociechę, wiarę i nadzieję.
 Oddał już duszę Bogu w snu wiecznego ciszy,
 Co się dzieje wokoło, nie widzi, nie słyszy,
 Ni gdy zimne ciało składają do truny,
 Ni gdy je okrywają czarnymi całuny,
 Ni gdy dom swój opuszczają, co mu był tak drogi.
 Raz ostatni przestępuje znajome mu progi.
 Śpiewających kapłanów nie dojdą go głosy,
 Kiedy się łącząc z ludem wznoszą pod niebiosy,
 Gdzie żaloszny szereg, zlany łez strumieniem,
 Niosąc świece, tych płomień z każdym wiatrów tchnieniem
 Zgina się, — i powolne zatrzymuje kroki
 Na miejscu, kędy dół już ciemny i głęboki
 Czeka mieszkańca swego; tu znów płacz się wznasza,
 Gdy kapłan wodą świętą zimne zwłoki zrasza,
 Gdy się sypana ziemia o trunę odbija
 I kiedy każda ręka, co zmarłemu sprzyja,
 Rzuca w dół garstkę piasku na drogę jej szczytki,
 Jakby dowód ostatniej w tem życiu pamiątki.

Wkrótce żona lub córka, zwiedzając te zwłoki
 I wylewając na nie łez rzewnych potoki,
 Wzniesie na nich z napisem grobowiec ozdobny,
 Posadzi obok różę, lub cyprys żałobny.
 Ach, nie myśl, dumny człeku, że te pyszne groby,
 Te napisy, ciosane w marmurach ozdoby
 Przejdą do późnych wieków, wiecznie będą trwałe :
 Powściągnij twoją pychę, nadzieje zuchwałe !
 Któryż z mocarzy zwłok swych choć cząstkę ocalił ?
 Niszczącą swą prawicą wszystko czas obalił :
 Kędyż szukać Cezara, Chrobrego popiołów ?
 Do różnorodnych wszystkie wróciły żywiołów.
 Jak ta róża, dziś wdzięczna farby uroczemi,
 Zwiędnie i zeschłe liście rozrzuci po ziemi,
 Tak człek i dzieła jego z całym swoim blaskiem
 Rozsypią się w proch drobny, zmieszają się z piaskiem.

Nowe bóstwo.

Już czyto w zimie, czyli wpośród lata
 Pilnie unikam od wielkiego świata.
 Kiedy się życia dosnuwa już wątek,
 Miła już tylko spokojność i kątek !
 Z tem wszystkim, jeden przyjaciel mój dawny
 Chce mię wieść gwałtem na wieczór zabawny.
 Długo się bronię, wreszcie, choć nie z dobrej woli,
 Zwiesiwszy głowę, wlekę się powoli.
 Włazę na schody, kręcę się, zataczam,
 Nareszcie w jakiś wielki salon wkraczam.
 Widzę tam hrabiów i baronów nowych,
 Ale najwięcej matador bursowych.
 Ciężko wyrazić, jakie między tymi pany
 Były rozmowy i gwar niesłychany,
 A zawsze o procentach, funduszach publicznych,
 I o żelaznych drogach, wszędy z sobą stycznych,
 I o cukrze z buraków i o bituminie,
 O tem, co się podniesie, co już prawie ginie.
 Wielu za tem, za owem ledwie było kilku,
 A wszystko dla mnie, jakby o żelaznym wilku.
 Szczęściem, gdy się sprzykrzyło o procentach gadać,
 Zwolna jęto na inne materje wpadać.
 Patrząc na dziennik, jeden z ludzi pono prawnych
 Zaczął rozmawiać o zbrodniach ustawnych,
 O kradzieżach, zabójstwach, co do uprzykrzenia
 Co dzień każda gazeta bez końca wymienia.
 Gdy się w zdaniach sprzeczają, aż jeden zaczyna :
 W stanie społeczeństw naszych cała złego wina ;

Póty mazać się będziem zbrodniami czarnemi,
 Aż się wszyscy nie ujrzym równie bogatymi.
 Niechaj każdemu nigdy na niczem nie zbywa,
 Niech każdy rozkosz świata do zbytku używa,
 Niechaj każdy z truflami frykasy zajada
 I na wielkiej operze w pierwszych łóżach siada.
 Czemuż i kmieć z tancerką nie może się swatać
 I z nią w kabryolecie po bulwarach latać.
 Niech tak będzie, niech wszyscy, jedni drugich godni,
 Ujrzą się bogatymi, a nie będzie zbrodni.
 Przepraszam, woła drugi, każdy, choćby syty,
 Burzyć się będzie, póki Rzeczpospolity
 Nie ujrzym między nami: złoczyńca, poganin,
 Każdy dobry, by tylko był republikanin...
 Gdy ja słowa nie mówię na te wszystkie dziwy,
 Aż się jeden odezwie: a ty, starcze siwy,
 Powiedz nam, gdzie się źródło występków znajduje
 I czemu u nas topór nigdy nie próżnuje.
 Do mnie, odpowiem, milczeć, gdy wy rozmawiacie,
 Wszak wy wszystko na świecie lepiej od nas znacie.
 Ale powiedz, znów krzyczy, mów prawdę bezpiecznie.
 Jeślić, rzeknę, myśl moją mam odkryć koniecznie,
 Zda mi się, że ta liczba występków tak mnoga
 Jest stąd, że nie wierzycie ni w djabła ni w Boga.
 Jest to potwarz, wykrzykną, jest to fałsz wierutny,
 Każdy z nas, czy oszczędny, czyli też rozrzutny,
 Wszyscy jednego Boga gorąco wielbimy;
 Niedosć na tem, przy sobie zawsze go nosimy,
 Patrzaj — oto jest — i gdy ze złości się pieni,
 Oto jest Bóg nasz i coś dobywa z kieszeni.
 I wiecież, jaki to był ów Bożek ich nowy?
 Zgadnijcie... proszę...: był to talar pięćfrankowy.

Stary motyl.

Motyl stary już skurczony,
 Co ledwie skrzydełkiem włada,
 Dawnym zwyczajem wiedziony
 Gdy na świeżej róży siada,
 Ta nań z gniewem zawołała:
 Skądże myśl tak zuchwała
 Siadać tu, proszę nie siedzieć tu dłużej
 I samą mnie tu zostawić.
 Mylisz się, jam jest prawnuczka tej róży,
 Z którąś się ty zwykł był bawić,
 Odleć więc i usiądź sobie
 Na prababki mojej grobie.

(Dok. nastąpi).